

Bękart

Ojciec zabierał mnie na ryby. Nie zdarzało się to za często, ale za każdym razem stawał się nagle miły. Do czasu, aż nie popełniłem błędu. Wtedy cała otoczka miłości nagle zniknęła i z mojego ojca zmieniał się znowu w tę obcą postać, którą dobrze znałem – agresywnego, przerażającego mężczyznę po pięćdziesiątce, na którego głowie zostało jeszcze kilka kępek szarych włosów. Wypominał mi czasem, że przeze mnie osiwił.

Dzisiaj nic nie brało. To niby normalne, ale jednak z każdą minutą czułem, jak atmosfera zaczyna gęstnieć. Patrzyłem na spławik, ale go nie widziałem. Wszystko jakby zatrzymało się w miejscu. Czas płynął inaczej. Słyszałem psa, który ujadł gdzieś w głębi wsi. Szum wiatru, co jakiś czas plusk gdzieś w innej części jeziora.

Pamiętam, jak zabrał mnie na łowienie ryb po raz pierwszy. Złapałem coś dużego, chyba karpia. Wyciągnąłem go z wody, a on wyjął z jego ust hak. Położył siatkę wraz z rybą na ziemi i kazał mi ją złapać i wyjąć do zdjęcia. Widziałem, jak – biedna – dusi się na moich oczach. Bałem się. W końcu podał mi ją. Zrobił jedno zdjęcie, po czym karp wysunął mi się z rąk i upadł na ziemię z głośnym hukiem. Chciało mi się płakać. Ojciec wydarł się na mnie, że co ja robię, co ja sobie myślę, i kazał mi znowu wziąć rybę na ręce. Poczułem niemoc i nienawiść do tego wszystkiego. On czerpał przyjemność z zabijania zwierząt, niewinnych zwierząt, które dusiły się na jego oczach.

Dalej nic nie brało. Prawie słyszałem podwyższony puls ojca. Czekąłem tylko na wybuch. No i doczekałem się.

– Nic ci, kurwa, nigdy nie wychodzi! – wydarł się na mnie, jakby to wszystko była moja wina. – Jebana dziwko pierdolona. – Wstał i uderzył mnie w twarz. Nic nie powiedziałem.

Spojrzałem tylko na niego, wzrokiem bez wyrazu, jak zwykle, kiedy podnosił na mnie rękę. Nie miałem głosu, nigdy. Raz spróbowałem się obronić. To było o raz za dużo.

– Nic, kurwa, nie znaczysz, śmieciu! – Złapał mnie za koszulę i zrzucił z krzesła na ziemię. Zaczął mnie kopać. Przyjmowałem ciosy, co innego miałem zrobić. Kiedyś liczyłem siniaki, ale dawno przestałem. Teraz pewnie leciała mi już krew. Szkoda.

Lubiłem tę koszulę, a nadawała się prawdopodobnie do wyrzucenia. Kończyły mi się rzeczy do ubrania, a nie mogłem o nie prosić.

Próbowałem zapamiętać tę wodę. W moim pokoju jak zwykle panował bałagan. Nie miałem siły sprzątać po rybach. Wziąłem do ręki otówek i kawałek kartki, który pozyczył mi kolega w szkole, na kartkówkę. Narysowałem tę rybę, którą złowiłem. Wtedy jeszcze skakała wesoło w wodzie, nie wiedząc, co ją czeka. Wesoło podrygiwała ogonem, bawiła się w toni jeziora, w swoim domu, w miejscu, które wtedy było jeszcze dla niej bezpieczne. Ale wszystko przemija.

Nastłuchiwałem, czy nie dobiegają odgłosy awantur albo dźwięk ciężkich kroków ojca, który o tej godzinie prawdopodobnie już pił. Ciekawy jestem, czy wszyscy mieli problem z piciem. To chyba całkiem normalne, że ludzie sięgali po powrocie do domu po wódkę i upijali się do nieprzytomności. Zawsze zastanawiałem się jednak dlaczego. Jaki był powód.

Wraciałem do domu po szkole. Starłem się wracać jak najszybciej, bo rodzice nie byli zadowoleni, gdy nie pojawiałem się od razu po lekcjach. Nie że miałem tam coś do roboty. Naczynia myła mama, obiad też ona robiła. Ojciec sprzątał i odkurzał. Tylko do mojego pokoju nie wchodził za często, chyba że akurat sobie o mnie przypominał i chciał mnie uderzyć. Chyba to lubił.

Wejście do domu równało się zawsze czemuś niespodziewanemu, nawet lubiłem trochę ten rytuał. Rodzice lubili mnie zaskakiwać, to była trochę taka gra. Dzisiaj znowu mnie zaskoczyli. Otworzyłem drzwi kluczem z moim ulubionym breloczkiem z lisem z Małego Księcia. Podaowała mi go kiedyś dziewczyna, chyba mnie lubiła, tak mi się wydaje. Teraz ma innego, bawią się dobrze, co jakiś czas można ich usłyszeć zza ściany, z damskich toalet. Ona bardzo lubi jego imię, krzyczy je. Zupełnie tak, jak mama lubi imię mojego ojca.

Rodzice siedzieli na sofie, przed telewizorem. Telewizor ten był zamontowany na ścianie obok wejścia, co nie było zbyt mądre w przypadku kradzieży, ale chyba mało się tym przejmowali. No, ale siedzieli, obok siebie. Mama nie miała spodni, ojciec koszuili. Trzymał rękę między jej nogami. Widać było jakąś ciecz, spływającą po jej nogach i formującą małą kałużę na podłodze.

– Znowu się, kurwa, spóźniłeś – powiedział ojciec, poruszając dłonią. Na twarzy mamy widać było wyraz wielkiej przyjemności. Nie była w stanie nawet na mnie spojrzeć.

– Przepraszam – odpowiedziałem, patrząc pusto na tę nietypową scenę. Chociaż czy tak bardzo nietypową?

– Zejdź mi z oczu – wycodził ojciec, przyspieszając ruch w mamie. – Idź robić lekcje.

Odchodząc, usłyszałem tylko jęki mojej mamy. Błagała, żeby nie przestawał. Nie wiem, na czym skończyła się ta scena, bo zamknąłem bezszelestnie drzwi do pokoju

i usiadłem na łóżku. W lewej ręce trzymałem kawałek szkła z butelki, którą ktoś roztrząsał na ulicy. Ciąłem w poprzek. To było dziwne, nowe, ale przyjemne, pomimo bólu. Czułem, że to wreszcie ja mam nad czymś kontrolę. Czułem, że to ja wreszcie nadaję sobie prawo zadawania mi bólu i byłem z tego powodu szczęśliwy. Boże, jakie to było cudowne!

Zamknąłem oczy i poleciałem do tyłu na łóżko. Kawałek szkła upadł gdzieś, gdzie, tego nie wiem, ale obchodziło mnie to chyba bardzo, bardzo mało. Na moich ustach pojawił się uśmiech. Tak, byłem szczęśliwy, wygrałem tę grę, zdobyłem szczyt, czy jak to się mówi. Czułem się wolny, wolny od wszystkiego, od wyzisk kolegów, od uwag nauczycieli, że do niczego się nie nadaję, od dziwnych spojrzeń na mieście, od tych gestów, że nieładnie pachnę, bo nie pozwalają mi się myć, żeby oszczędzać wodę. Swoją drogą to dziwne, bo oni mogli się myć. Tylko że zawsze razem. I zawsze odgrywali taki teatrzyk jak dzisiaj na sofie. Oni w ogóle bardzo to lubili.

Spokój przerwał jak zwykle mój ojciec. Wparował do pokoju, pijany, tym razem bardziej zły niż zwykle. Może dlatego, że nie robiłem tych głupich lekcji, tak jak mi kazał, tylko po prostu leżałem. Zobaczył też moją rękę, na której zaczęła już zasychać krew. To go jeszcze bardziej wściekło.

– Ty kurwo pierdolona. – Ruszył w stronę łóżka. – Jebany bękarcie, chcesz, żeby nałożyli na nas jakąś pierdoloną niebieską kartę albo, kurwa, coś tego? – Chwyił mnie za ostatni czysty T-shirt, jaki został w mojej szafie, ten, który dostałem od tej samej dziewczyny. Były na nim rysunki, bo ona też lubiła rysować. Najbardziej podobało mi się słońce, zaraz nad końcem prawego rękawa, z boku. Miało taki śliczny uśmiech, prawie tak śliczny jak ona. Czasami przyglądałem się mu w lustrze, próbując sobie przypomnieć ją taką, jaka była wtedy, bo teraz jest już całkiem inna. Dorosła, duża. Ma takie śliczne blond włosy, a wcześniej była brunetką. Ma takie śliczne białe zęby, które wybiela od czasu, kiedy spotyka się z innym. No i nosi inne ubrania, kiedyś tak po prostu, teraz lubi krótsze rzeczy i często widać jej majtki. Ale dalej jest śliczna, tylko po prostu inaczej. Czasami widzę ją w szkole, całuje się z nim, a czasem jest zupełnie jak moja mama z moim tatą, tylko są młodszy, dużo, bardzo dużo. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Mój ojciec rzadko bił mnie tak, żeby było coś potem widać. Lubił tę naszą małą tajemnicę. To był taki sekret, co się go nigdy nie mówiło na głos, nikomu. Ale chyba bardzo nie spodobała mu się moja ręka. Coś wziął, jakiś metalowy pręt, nie pamiętam.

Kiedy zamykałem oczy, widziałem te jej, zielone, takie piękne.



„Riders to the Sea” J.M. Synge’a – warsztaty Clary Simpson podczas Festiwalu
Between.Pomiędzy 2026. Fot. Łukasz Bień (CASI D UG)